

# Królewiaczy

przez

Artura Gruszeckiego.

21)

— O Wenus to wiem, — mówiła z pewnem zawstyżeniem, — ale Astarte? — i spojrzała mu w oczy.

— Astarte, to bogini miłości, podobnie jak Wenus, tylko że assyryjska, bo w mitologii proszę pani, jak na świecie: osiłą wszystkiego jest miłość.

— O, co to, to nie, — zaprzeczyła Stasia. — A Mars, a Wulkan?

— Odważny Mars, — uśmiechnął się Roman, — rozkochany w Wenus, był jej sługą i podnóżkiem, a Wulkan stracił zmysły dla Prozerpiny.

— Proszę was na herbatę, — zawołała ciotka, stając we drzwiach.

— Najwyższy czas, — zaśmiała się Stasia, — jestem głodna, bo nie żyję nektarem i ambrozją, jak Mania.

— Już zaczynasz, psotnico? — upomniała ciotka, — dajże spokój,

Wzmianka o nektarze i ambrozji przypomniawszy Romanowi złośliwe uwagi Marskiego o idealnych pannach, ale był dalekim od stosowania tych uwag do Mani.

Przy herbacie rozmowa się nie kleiła, była nudna i banalna. Wspominano minione zabawy, mówiono o przyszłych, ciotka utyskiwała na służące i kilkakrotnie zachęcała Manię, ażeby skosztowała wędlin i ciastek, ale Mania nie miała dzisiaj apetytu i ledwie wypita filiżankę herbaty z cytryną.

— Pani byłaby bardzo pożądaną stołowniczką w pensjonacie, — uśmiechnął się Roman.

— Ja sama się dziwię, — zaczęła ciotka, — skąd ta dziewczyna bierze siły i życie, bo jak pan teraz widzi, ona zawsze taka, trudno ją namówić do jedzenia, i to jest dla mnie zagadką.

— Ale nie dla mnie, — zaśmiała się złośliwie Stasia.

Zaczerwieniona Mania przerwała siostrze, dopytując się Romana o Warszawę. Odpowiadał dosyć powściągliwie, nie chcąc urazić stałych mieszkańców Krakowa, a jednak Mania, może pod wpływem jego słów, a może z innych powodów powiedziała:

— Mojem marzeniem jest mieszkać w Warszawie, tyle słyszałam o niej od moich koleżanek, że gdybyśmy mogła, tobym dziś tam pojechała.

— To dziwne, że ta zachcianka dopiero dziś ci przyszła do głowy. Przecież niedawno tatuś zostawił ci do wyboru, Wiedeń, czy Warszawę, a wybrałaś Wiedeń.

— Bo wtedy nie słyszałam jeszcze tyle o Warszawie, — tłumaczyła się zmieszana.

— No, a od koleżanek? — zaśmiała się Stasia.

— Nie każdy, panno Stanisławo, przychodzi na świat doskonałym, to właściwość tylko cudownych dzieci, — uśmiechnął się złośliwie Roman, — a my, zwykli ludzie stopniowo się udoskonalamy i ustalamy nasz charakter, nasze pragnienia.

— Nauka pana pójdzie w las, bo właśnie ja dziwiłam się nagłym przeskokom.

— Czy drogo państwo płaciecie za mieszkanie? — najniespodziewaniej spytała ciotka.

— My mieszkamy bardzo skromnie, jak zwykle na wygnaniu.

— I pan zapewne rozpacza, że znalazł się na tem wygnaniu? nieprawdaż? — dokuczała Stasia.

— Do rozpaczki nie mam powodu, bo przecież zawsze jestem w Polsce.

— Nie kłóć się z panem, — rzekła ciotka. — A gdzie państwo mieszkacie?

Roman musiał szczegółowo opowiedzieć o mieszkaniu i cenie.

— To bardzo drogo. Mieszkać gdzieś za świątami i tyle płacić! Muszę też bratu powiedzieć, ażeby popodnosił czynsze, bo on taki dobry człowiek, że nie umie korzystać z chwili.

— Ach, ciociu, — zawołała Stasia, — czy zapomniała ciocia, że w zeszłym kwartale tatuś podniósł czynsz wszystkim lokatorom coś o trzydzieści procent, czy więcej, sam to mówił.

— Nie wtrącaj się w rzeczy, których nie rozumiesz, — obruszyła się ciotka, — ojciec musiał podnieść czynsz z powodu zwiększenia podatków, ale nie w stosunku do ogólnej drożyzny.

— Może już wstaniemy, — odsunęła Stasia krzesło.

Przeszli do salonu, a po kilku chwilach rozmowy posłyszeli ciężki chód i trzask otwieranych drzwi.

— To tatuś, — powiedziała Mania i porozumiała się z ciotką oczyma, w obawie, że ojciec, po spotkaniu się z przyjacielem, może jest w humorze zbyt wesołym.

Ciotka widocznie zrozumiała, gdyż natychmiast pospieszyła do przedpokoju i słysząc było jej chrypliwy głos:

— Michciu kochany, możebyś coś zjadł.

— Czy jesteście już po kolacyi?

— Nie, dopiero po herbacie.

— A kawaler jest?

— Jest, jest, — zniżyła głos.

— To dawaj zaraz kolację. Głodny jestem, nic w ustach nie miałem.

— Zaraz podam.

I po chwili wszedł do salonu gospodarz silnie zaczerwieniony i zawołał z progu:

— Dobrze, że pana zastałem, będzie z kim trącić się kieliszkiem gorzałki, bo tak samemu, nie lubię pić, — witał się z Romanem.

— Ależ tatuś czerwony, — zauważyła Stasia.

— To z mrozu, nie z wina, — śmiał się siadając ciężko na fotelu i zacierając wielkie, czerwone ręce. — Cóż, dobrze się pan bawiłeś tutaj, u mnie?

— Bardzo.

— Ho, ho, widzę fortepian otwarty. A która to grała?

— Ja, tatusiu, — odezwała się Stasia.

— Dlaczego świec nie pogasiłaś? zdmuchnij. A co, panie, ładnie grała?

— Panna Stanisława ma istotny talent, grała prześlicznie „Na skrzydłach pieśni“.

— Ee, co tam, panie, jakieś skrzydła, — zaśmiał się, — ja tam, panie, tych fidrygałków nie lubię. Grać, to od ucha, do tańca, to muzyka!

— Ach, tatusiu, — zawołała Mania, — jak można tak mówić o poważnej muzyce. Nokturny, ballady, to prawdziwa muzyka, to poezja!

— Już ty mi daj pokój z tą swoją poezją, — zadrwił, — dobrze ci o niej mówić, gdy siedzisz wystrojona w ciepłym pokoju, na fotelu... ale inaczej będziesz ty śpiewała, gdy będziesz musiała karmić dzieci, pilnować męża, dbać o porządki w domu, pozbędziesz się wtedy wszelkiej fanaberyi, co? nieprawda panie?

— To zależy od tego, kogo panna Marya wybierze na męża.

— Głupstwo, panie! ona wybierze tego, kto ma stanowisko, byt zabezpieczony i stałą posadę.

— O, tak materyalna nie jestem, — protestowała Mania.

— No, no, znam ja ciebie, masz ty rozum, zresztą bez mego pozwolenia nie wyjdiesz za mąż... Stasiu, a co z tą kolacją? idźno, zobacz.

Przy stole, w obecności gospodarza, rozmowa toczyła się jak po grudzie i przeważnie opowiadał sam pan Filarek różne przygody swego życia, drobne i bez znaczenia.

Mania, wynagradzając Romanowi te nudy, od czasu do czasu powiedziała kilka słów przyjemnych, których znaczenia, jak im obojgu się zdawało, nikt prócz nich nie rozumiał, ale Stasia pilnie uważała i wreszcie szepnęła półgłosem:

— Obawiam się, że twoje wspomnienia zwiędną do jutra, jak bukiet, który zostawiłaś na stole.

— Prawda, mój bukiet! — zawołała Mania i wstała szybko od stołu. Po chwili wróciła, trzymając w ręku jedną z róż bukietu, co bardzo uradowało Romana.

— Lubi pani kwiaty? — spytał ją.

— Nie wszystkie.

— A róże?

— Tylko w braku innych, bo dla mnie najpiękniejsze są irysy, takie smutne, głębokie i oryginalne.

— Jakaż ty zmienna, — zaśmiała się Stasia, — z poetą lubisz irysy, a z panem Julianem kochałaś się w jastrunach.

Roman uczył żądło zazdrości i spytał może zbyt żywo:

— Kto to jest pan Julian?

Dostłyszła to pytanie ciotka i odezwała się:

— Pyta pan o pana Juliana Butrinka?

— Nie wiem, czy nazywa się pan Butrinek, tylko imię znam, pan Julian.

— Tak, ciociu, mówiłam o panu Butrinku, — rzekła Stasia.

— Pan Butrinek, bardzo porządny człowiek, na stanowisku, wdowiec; nie pamiętasz Maniu, jak dawno umarła mu żona?

— Nie pamiętam, ciociu, — odparła chmurna.

— Ja wiem, — zawołał gospodarz, — to dziwne, że nie pamiętacie. Przecież przed kilku dniami mówił tu, przy stole, że za dwa miesiące będzie rok, czyli w kwietniu.

— Czy to człowiek starszy? bo wdowiec, i może ma już dzieci? — silił się Roman na spokój.

— Wcale nie stary, człowiek w sile wieku, nie ma chyba czterdziestki, zamożny, oszczędny, jest urzędnikiem dziewiątej rangi przy podatkach.

— Ma miłą córeczkę, pięcioletnią, — objaśniła ciotka.

— I bardzo przywiązana ta Wila do Mani, — mówiła Stasia, — i zdaje się, że sympatya wzajemna.

Roman czekał z upragnieniem zaprzeczenia ze strony Mani, ale ta miała spuszczone oczy i pieściła białą ręką różę.

— Panno Maryo, czy on często bywa? — spytał Roman znaczącym głosem.

— Często? — podniosła na niego oczy, — nie wiem.

— Jaki nie wiesz? — zawołał ojciec. — Przychodzi tu dwa, trzy razy na tydzień, a ty mówisz: nie wiem... no, panie Czajkowski, jeszcze kieliszek wina, dobrze? wino wcale dobre.

— Dziękuję.

— A może filiżankę herbaty? — zapraszała Mania ze słodkim uśmiechem.

— Jeśli pani tak łaskawa...

— Idźcież państwo do salonu, tam każe podać, — rozporządziła ciotka.

Przechodząc do salonu szedł Roman obok Mani, która nieznacznie mu szepnęła:

— Czy pan mi ufasz? jesteśmy przecież w przyjacielni, i to w szczerzej?

— Tak pani, ufam bez granic.

— Więc wierz pan tylko mnie i tym kwiatom, — dotknęła róży ustami.

Twarz Romana rozjaśniła się, zdawało mu się, że niebo otwarcie ujrzał przed sobą i poczuł wyrzuty sumienia, że on zbrudził tę jasną i czystą niegodnym podejrzeniem.

Przy herbacie w salonie, pan domu z trudnością powstrzymywał ziewanie, które zaraziło również ciotkę i Stasię.

To skłoniło Romana do pożegnania się, jednak na odchodnym udało mu się wyprosić u Mani, na pamiątkę miłego wieczoru, różę, którą trzymała w ręku.

Na prośbę jego, czy wolno mu będzie odwiedzić gościnny dom pana Filarka, — odpowiedział gospodarz:

— I owszem, krzywdy mi pan żadnej nie robi, ani w jedzeniu, ani w picu, a zawsze z gościem weselej.

Gdy drzwi się zamknęły za Romanem, cała rodzina zgromadziła się w jadalnym pokoju, a Mania wyjęła z bufetu pozostałe wędliny i zasiadła do jedzenia.

— Powiedz mi dziewczyno, — rzekł ojciec do naprzeciw siedzącej córki, — dlaczego ty przy kolacyi nic nie jadłaś, dopiero teraz?

— Nie miałam, tatusiu, apetytu.

— Ach ty głupia, głupia, — roześmiał się dobrodusznie, — czy myślisz, że który ci uwierzy, że ty żyjesz tylko Duchem świętym... hej, Stasia, przynieś mi cygaro, a wybierz suche.

Gdy zapalił, rozsiadł się lepiej, wsparł się łokciami o stół i rzekł:

— Słuchaj, Mania, masz dwóch starających się, to jasne. Ten Butrinek, no i Czajkowski, którego wyraźnie swata Stokłosowa. Jakże ty myślisz, za którego wyjdiesz?

— Za mało ich znam, tatusiu.

— Czy myślisz, że go lepiej poznasz, jak ci będzie dłużej płótki koszałki opałki? Ty mi powiedz wyraźnie, albo jeden albo drugi. Ja nie mam domu na żadne amory. Pan Bóg dał, że trafia ci się porządny człowiek, niema co zwlekać, a jak będziesz przebierała, zostaniesz na koszu, starą panną, ni do Boga, ni do ludzi, i będziesz mnie, ojca, przeklinała, że ci pozwoliłem na kaprysy.

— Ależ tatusiu, mamy czas, co tak nagli? — mówiła zajadając szynkę.

— Urszulko, dajno mi wina, a tobie Maniu powiem, że to głupie gadanie: mamy czas. Tobie na Matkę Boską Gromniczną minęło dwadzieścia trzy lat, już ci czas być żoną i matką. Nieboszcza twoja matka będąc w twym wieku miała już troje dzieci, z których uchowało się was dwie. Więc miarkuj, że tobie już czas.

— Tatusiu, jeszcze mi się żaden nie oświadczył.

— Nie tobie się oświadczy tylko mnie, i muszę wiedzieć jak stoję?

— To niech tatuś powie, że poradzi się ze mną, a my z ciocią odpowiemy, prawda ciociu?

— Co mi tam wasze narady! — nadpił wina — ja wiem najlepiej za kogo możesz wyjść za mąż, ażebyś później nie narzekała i nie była ciężarem rodzinie.